

DIONIZY GARBACZ, ANDRZEJ ZAGÓRSKI

w kleszczach czerwonych

MAGAZYN

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy



M004245

SYG. 2903

BRZÓZÓW — RZESZÓW 1991

94(438).082

Zespół redakcyjny:
JERZY F. ADAMSKI
JERZY KOZIARZ
MALGORZATA RUDNICKA

Opracowanie graficzne:
KRZYSZTOF MADEL

Redakcja techniczna i projekt okładki:
MIECZYSLAW BAZYSZYN



94(438).082.3+94(438).082.2
A/2

4245

ISBN 83-900130-5-3

WYDAWCA:

MUZEUM REGIONALNE IM. ADAMA FASTNACHTA W BRZOSZOWIE
I ZARZĄD REGIONU NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W RZESZOWIE

Wydanie I. Nakład 4.150 + 250 egz. Ark. wyd. 16. Ark. druk. 16, 25.
Oddano do druku w lutym 1991 r. Druk ukończono w kwietniu 1991 r.

Druk „ENERGOPROJEKT”, Kraków, ul. Mazowiecka 21, zam. 42/91

OD WYDAWCY

Wydarzenia opisane w książce rozegrały się prawie pół wieku temu, a jednak jest to pierwsza praca, przedstawiająca w miarę możliwości dokładnie i konkretnie fakty, jakie nastąpiły, gdy nowa władza wkraczająca z Armią Czerwoną do Polski zetknęła się z Armią Krajową na terenie podokręgu Rzeszów.

Praca jest wycinkowa, ogranicza się do stosunkowo niewielkiego terenu, który jednak dzielił losy całego kraju, jest więc reprezentatywna dla zagadnienia.

Problematyka książki zawęży się do spraw dotychczas przemilczanych w oficjalnych publikacjach. Przedstawia je w oparciu o zachowane meldunki AK-owskie, relacje świadków, wspomnienia. Archiwalia dotyczące tego okresu są trudno dostępne, wiele z nich przetrwało w rękach prywatnych, jednak ich posiadacze zachowują dużą ostrożność, wielu zastrzega sobie anonimowość udostępniając swe zbiory. Dokumenty z tych lat znajdują się również w archiwach państwowych, partyjnych, wojskowych i resortowych. Fundamentalnym źródłem dla historyka Armii Krajowej jest wydana w Londynie pięcioletnia „Armia Krajowa w dokumentach 1939 - 1945”. Z innych opracowań zajmujących się m. in. tematyką AK i problemami wprowadzania nowej władzy można wymienić: Władysława Poboga - Malinowskiego — Najnowszą historię polityczną Polski 1864 - 1945, Krystyny Kersten — Narodziny systemu władzy. Polska 1943 - 1947, Jerzego Ślaskiego — Polskę walczącą, Stanisława Mikołajczyka — Gwałt na Polsce, ponadto opracowania wyraźnie „klasowe”: Edwarda Olszewskiego — Początki władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie, Ryszarda Nazarewicza — Drogi do wyzwolenia ..., Ruch robotniczy na Ziemi Rzeszowskiej 1918 - 1975, Andrzeja Daszkiewicza — Partie i stronnictwa polityczne w Polsce Południowo - Wschodniej, Ruch ludowy na Rzeszowszczyźnie (Materiały z sesji naukowej zorganizowanej przez WK ZSL w Rzeszowie..., Wydawnictwo Lubelskie 1967), Materiały z sesji popularnonaukowej poświęconej zagadnieniom kształtowania się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie (Rzeszów 1962), Władza ludowa rodziła się w walce (Rzeszów 1966), Działalność PPR na Rzeszowszczyźnie (Warszawa 1976).

różnych osób z województwa lwowskiego oraz informacje, że są wywożeni na Sybir. Wielu z nas dopisało swoje nazwiska z podobną informacją. Parę dni nas trzymali, aż przygotowali pełny transport. Potem poddano nas szczegółowej rewizji rozbierając do naga. Ubrania w tym czasie znalazły się znowu w odwzalnii, gdzie dokładnie przeszukano kieszenie zabierając dosłownie wszystko, nawet kawałki papieru, grzebień, każdy najdrobniejszy kawałek metalu. Następnie załadowano nas do samochodów i podwożono do pociągu. Wagony towarowe po przewożonym bydłe brudne i mokre. Ładowali do wagonu po 90 ludzi. Cała bocznicą obstawiona była setkami żołnierzy NKWD. Kilkanaście karabinów maszynowych na stanowiskach z wycelowanymi w nas lufami". We wrześniu 1944 roku do Bakończyc przywieziono także żołnierzy AK z Obszaru Lwów, w tym również oficerów ze grupowania „San” dowodzonego przez „Sulimę”.

Na początku października w bydłych wagonach wysłano z Bakończyc pierwszy transport Polaków, starym szlakiem ich ojców — na Wschód. Z braku dokładnych danych trudno określić jak liczny był transport, z pewnością zesłano wówczas kilka setek Polaków, w tym dużą liczbę AK - owców.

O ile do Riazania wysłano bardziej aktywnych AK - owców i żołnierzy AK z oddziałów partyzanckich, które dostały się w ręce NKWD, o tyle drugi transport, jaki wyjechał z Bakończyc, był zaplanowany od początku do końca. Na przełomie października i listopada całą Rzeszowszczyznę NKWD postanowiło dokumentnie sprawdzić. Szło rzecz jasna o wyłapanie członków istniejącej w podziemiu Armii Krajowej. Niejako przy okazji zabierano funkcjonariuszy urzędów miejskich i gminnych, pracujących dla Niemców oraz niektórych policjantów granatowych. Akcja aresztowań realizowana była z pomocą milicji, UB a w niektórych przypadkach nawet wojska. Wyłapywano AK - owców w różny sposób. Jednym z nich było okrażenie miejscowości, a następnie patrole sowieckie lub sowiecko - polskie chodziły od domu do domu w poszukiwaniu osób podejrzanych o przynależność do organizacji podziemnej. 14 listopada 1944 roku okrażony został przez NKWD i wojsko Ulanów. Była noc. Uzbrojone patrole szły od domu do domu i wyprowadzały mężczyzn. Potem z pomocą milicji i miejscowego konfidenta odbywała się wstępna selekcja. Jeśli złapanego nie było na liście — puszczano go wolno. Zdarzały się wręcz dramatyczne sytuacje. Józef Puskarczyk zdołał zbiec w koszuli i kalesonach, gdy NKWD wchodziło na podwórze. Przez całą noc leżał pod przyciesią stodoły a potem, gdy nastał ranek, udało mu się znaleźć schowek w bunkrze swego wuja. Edward Czarnota został zabrany przez NKWD na trzeci dzień po ślubie. Żona innego znów schwytanego rodziła w trakcie łapanek. W pobliskich Bielinach brano, ale już według listy. Wieś

oczywiście wcześniej zamknięto kordonem. Dwunastu mężczyzn pod uzbrojoną eskortą wywieziono do aresztu w Nisku, skąd kilku zwolniono, resztę po przesłuchaniu przetransportowano do Bakończyc. W Stalowej Woli aresztowania odbyły się wieczorem i nocą z 15 na 16 listopada. Aresztowań dokonywało NKWD. 5 listopada 1944 roku NKWD zjechało do Kurzyny. Kierujący akcją mieli wcześniej sporządzone listy. Patrole szły dom za domem, przy czym obsadzono wszystkie trzy Kurzyny: Wielką, Średnią i Małą, tak aby nikt nie mógł się wymknąć. W tym samym dniu okrażono pobliskie Golce. W Kurzynie rozegrał się krwawy dramat. W domu Szajwajów odbywała się gościna. Z niewiadomych względów enkawudzisci zaczęli strzelać do okna. Na miejscu zastrzelili 74 - letnią Józefę Tapper. Wybiegającego z zagrożonego domu Józefa Olszówkę pochodzącego z pobliskiej Dąbrówki rażono śmiertelnie. Taki sam los spotkał 18 - letnią wnuczkę zabitej już Józefy Tapper, zmierzającej ostrzec swego narzeczonego. W Kurzynie Wielkiej NKWD poszukiwało Kazimierza Koczyńskiego. Zastano go w domu. Na pytanie jak się nazywa, odpowiedział, że Adamczyk. Patrol NKWD wyszedł, ale Koczyński nie wytrzymał nerwowo i chciał uciec przez okno. Dosięgła go seria z pepeszy enkawudzisty. W tę krwawą niedzielę z Kurzyny i Golców zabrano siedemnaście osób.

Inną metodę aresztowań przyjęto w Kolbuszowskiem. Aresztowania odbywały się o różnych porach dnia i nocy. Sowietci najczęściej zabierali ludzi wczesnym rankiem, funkcjonariusze UB zwykle nocą i po południu. Dużą pomoc Sowietom wyświadczyło kolbuszowskie UB. Szczególnie złą sławą zasłynął niejaki Stanisław Dzyndra, który aresztowanych Polaków katował. W czasie przesłuchań kazał trzymać między kolanami miednicę, żeby krew z twarzy nie brudziła podłogi. UB aresztowanych po przetrzymaniu jakiś czas w swoim więzieniu przekazywało NKWD. Los aresztantów w UB był o wiele gorszy, bito ich i maltretowano. NKWD nie uciekało się do przemocy fizycznej. Po przekazaniu aresztowanych do NKWD, zwykle wkrótce wywożono ich do Bakończyc. Nasilone aresztowania przeszły z początkiem listopada 1944 roku. W Kolbuszowej i okolicy zabrano do obozu kilkaset osób. Nie oszczędzono także kobiet. W czasie obławy zginął Jan Buczak zastrzelony przez NKWD, gdy próbował ucieczki przed aresztowaniem. UB usiłowało schwycić „Sawę” (Tadeusz Rożek), członka dywersji przerzuconego do Kolbuszowej. Nachodziło jego kwaterę, mieszczącą się w domu wdowy Rychłowej. W czasie próby pojmania „Sawy” ubowcy zastrzelili Bogu ducha winnego Kazimierza Dula. Rychłową wzięto do aresztu a następnie przekazano NKWD, które wysłało ją do obozu w Bakończycach. W domu pozostało dwoje dzieci: kilkuletni syn i siedemnastoletnia córka. UB i NKWD wzięły ze szkoły pięcioro uczniów, m. in. Mieczysława Godlewskiego, Marię Skowrońską,

Zofię Kotlarek. Wszystkich wysłano do Rosji. Niektóre wsie z Kolbuszowskiego w wyniku aresztowań były prawie pozbawione mężczyzn. Zabierano rodzeństwa np. braci Augustynów Józefa, Mieczysława (zmarł w łagrze), Romana, braci Chodorowskich z Kolbuszowej Józefa i Mariana, Zofię Januszewską i jej brata Zbigniewa, braci Lisów z Ranizowa — Józefa i Juliana, braci Rząsów Ludwika i Piotra, rodzeństwo Pękalskich — Annę i Stanisława (Anna była wtedy w ciąży), rodzeństwo Skowrońskich — Marię, Jana i Władysława. Wszystkich później wywieziono do Borowicz. Do Stalinogorska trafili bracia Krajewscy Piotr i Jan z Weryni, małżeństwo Maziarów z Górną — Helena i Czesław, bracia Trojnacy — Walerian i Władysław z Ostrowów Tuszowskich. Nieznany jest los braci Lenartów ujętych w leśniczówce, prawdopodobnie zostali zastrzeleni wcześniej nim zdołano ich wywieźć. W gminie Chorkówka w Krośnieńskiem w wyniku wejścia oddziałów partyzanckich do akcji „Burza” nastąpiło zdekonspirowanie żołnierzy, co w niedługim czasie wykorzystali PPR - owcy będący funkcjonariuszami MO i UB. Wspomina Jan Kaczor: „Aresztowania zaczęły się w drugiej połowie października, najpierw aresztowano Mariana Szpila („Jarowicz”, ppor., dowódca plutonu w oddziale ZN - 24 — przyp. autora) a następnie resztę żołnierzy, prawie wyłącznie tych, którzy brali udział w działaniach partyzanckich, bo nie wszyscy zorganizowani weszli w pole i część z powodu braku uzbrojenia pozostała w domach jako rezerwa. Aresztowań dokonywali funkcjonariusze NKWD prowadzeni przez milicjantów z posterunku MO w Chorkówce, akcja była przeprowadzona w nocy, a uniknęli aresztowania ci, co nie spali wówczas w swoim domu. Tak było i w moim przypadku, w nocy mnie nie znaleźli, a na drugi dzień byli po mnie jeszcze trzy razy, ale w tym czasie ukrywałem się w Zręcinie, następnie w Krościenku Niżnym i Krościenku Wyżnym. Ukrywałem się do ogłoszenia amnestii w pierwszą rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN...”

Transport liczący dwa tysiące osób (na ogół we wszystkich relacjach zesłańców powtarza się ta liczba) wyruszył z Bakończyc 26 listopada 1944 roku. Po dziewięciu dniach jazdy w warunkach niezwykle ciężkich, dobrnął do stacji Borowicze. Z wagonów wysiedli mężczyźni, wysiadły kobiety. Wśród zesłańców lwiał część stanowili AK - owcy, ale byli także ludzie nie związani z żadną konspiracją ani pracą w urzędach w czasie niemieckiej okupacji. Do obozu przywieziono także osoby mające na pieńku ze sporządzającymi listy dla NKWD.

Gehennę wywózki przeżyło wiele kobiet. Najwięcej zabrano ich z obwodu kolbuszowskiego. „Kamelia” (Zofia Januszevska) aresztowana przez NKWD została umieszczona w komendanturze wojennej a następnie w piwnicy obecnego banku w Kolbuszowej. Tam przetrzymywano wszystkich AK - owców. Wkrótce do niej dołączyły

M. Skowrońska, M. Dudzińska, N. Babkówna, S. Opalińska, Z. Gruszkówna, A. Mielcuszna, Wildhirtówna i jeszcze trzy kobiety z Rzeszowa. 4 grudnia 1944 r. były już w Borowiczach, najpierw w obozie Szepietowo a od maja 1945 r. w Jegolsku. W obozie wiodły życie organizując się w tzw. kąciki, po trzy - cztery osoby. To umacniało i ułatwiało przetrwanie. Pomagały także mężczyznom dostarczając np. jedzenie. Większość kobiet wróciła do kraju w marcu 1946 roku, ale niektóre zostały później wywiezione w rejon Świerdłowska (Z. Golniewicz, Z. Gruszka, A. Mielcuszna, N. Babka). Powrotu doczekały się w listopadzie 1947 roku.

Ostatni transport do obozu w ZSRR odszedł 11 stycznia 1945 roku z Rzeszowa. Najpierw krótki pobyt w Bakończycach i straszny pociąg wyjechał w srogą zimę do Stalinogorska, niedaleko Moskwy. Oblicza się, że z Rzeszowa wywieziono około 500 osób, zaś cały transport mógł liczyć ponad tysiąc ludzi. Spośród trzech miejsc zesłań Stalinogorsk był najłagodniejszy, najmniejsza była tam umieralność. Najkrócej dla większości trwało tu zesłanie, bo po niespełna ośmiu miesiącach wielu łagierników wróciło do kraju. Inni natomiast znaleźli się na południu ZSRR, w Odessie, gdzie musieli pracować przy remoncie statków morskich, barek i przy budowie hal fabrycznych. Dopiero w październiku z Odessy przybyli do Polski. Oczywiście i w przypadku transportu do Stalinogorska mogły zaistnieć jakieś szczególne okoliczności. Pobyt zesłańców w łagrach mógł trwać jeszcze lat dziewięć czy dziesięć, a może zakończył się śmiercią za Uralem...

Nie wszyscy uwięzieni AK - owcy wywiezieni zostali ostatnim transportem. Część z nich została w kraju, zwykle z powodu fatalnego stanu zdrowia, które utracili w czasie śledztwa. Np. Franciszek Zagórski „Ostoja”, kwatermistrz Inspektoratu AK Przemysłu. Aresztowany w Sieteszy w listopadzie 1944 roku przez przeworskie UB, wkrótce przewieziony do rzeszowskiego zamku. W czasie śledztwa bity nahajkami z kulkami metalowymi. Gdy kompletowano transport do Stalinogorska, był tak zbity, że nie mógł poruszać się o własnych siłach. To zdecydowało, że nie zesłano go do Rosji. W sierpniu 1945 roku, gdy część AK - owców wyruszała ze Stalinogorska do Polski, „Ostoje” zwolniono z więzienia za łapówkę 30 tysięcy złotych, dywan perski i komplet kołczyków i broszek artystycznych z I połowy XIX wieku. Łapówkę wziął prokurator.

Dużą pomoc NKWD okazywali sami Polacy, przeważnie o lewicowych zapatrywaniach, związani z ruchem ludowym i członkowie PPR. Listy przeznaczonych do wywózki sporządzali, wedle świadków, np. w Kolbuszowej bracia Ostekowie, w Stalowej Woli jeden z członków byłego Tymczasowego Fabrycznego Komitetu Zawodowego opanowanego przez PPR - owców, w Bielinach tzw. ludowcy,

w Ulanowie natomiast pomocą w ustaleniu członków podziemnej organizacji służył jeden z nich. Kontrozwiedka i NKWD szukały konfidentów wśród Polaków, pochodzących z interesującego ich terenu. Nie zawsze byli to tzw. ludowcy czy PPR - owcy, zdarzały się zwyczajne szumowiny, czy nawet członkowie organizacji podziemnych skuszeni mirażem kariery. Była jeszcze jedna grupa: sowieccy partyzanci działający na terenach Rzeszowskiego. W Kolbuszowskiem najbardziej dotkniętym aresztowaniami specjalną rolę spełnił sowiecki skoczek spadochronowy. Zrzucony w Rzeszowskim ukrywał się w rejonie Kolbuszowej, w Wilczej Woli, m. in. w domu Adama Lepianki. Gdy weszli Sowietci, okazało się, że jest enkawudzistą. Współorganizował UB w Kolbuszowej. On też wydał masę ludzi z konspiracji AK, zwłaszcza w Wilczej Woli, gdzie nie kryto się z przynależnością do podziemia. Nawet owego A. Lepiankę wysłał do obozu w Borowiczach, skąd już nie wrócił. Podobną rolę w Strzyżowskiem odegrał inny oficer sowiecki, ale zanim zdołał wszystkich wskazać, zlikwidowało go podziemie AK - owskie. Zastępca dowódcy oddziału partyzanckiego „Ojca Jana” por. „Konar” (Bolesław Usow) po wkroczeniu Sowietów w niedługim czasie był przesłuchiwany przez oficera NKWD, z którym wcześniej współdziałał w akcjach partyzanckich. Oficer ten jednak puścił wolno „Konara” polecając mu zniknąć z terenu bo „ci, co będą po mnie nie wypuszczą cię”.

Zdarzały się akty zemsty. W Kurzynie sołtys Eugeniusz Dolecki często przebywał z kapitanem NKWD. Gdy nastąpiły aresztowania i w czasie tej akcji zginęły cztery osoby, większość ludzi podejrzewała Doleckiego o zadenuncjowanie konspiratorów. W Bakończycach doszło do porozumienia, kto pierwszy wyjdzie z obozu, dokona zemsty na Doleckim. Tak się złożyło, że wśród składających przyrzeczenie znajdował się „Wołyniak” (Józef Zadziński). „Wołyniakowi” udało się zbiec z transportu i w maju 1945 roku ludzie z jego oddziału NOW w Kurzynie na podwórzu, w biały dzień, zabili Doleckiego.

W trakcie transportu zdarzyła się jedyna próba ucieczki, w części zakończona sukcesem. Otóż „Wołyniak” przemycił mimo rewizji gwoździ. W rejonie Zimnej Wody udało mu się owym gwoździem wyłobić kanał w podłogowej desce, tak że można było wybić dziurę. Nocą uciekło kilkunastu więźniów. Niestety jednemu z nich stopa dostała się pod koła. Krzyk rannego zaalarmował strażę. Pociąg zatrzymano, nieszczęśliwca uratowano, ale schwytano na powrót kilku uciekinierów. Jednak siedmiu zdołało zbiec, wśród nich był Józef Zadziński „Wołyniak” i Jan Skrzypek z Kolbuszowej. Stan osobowy Sowietci uzupełnili zabierając po drodze przypadkowych polskich chłopów.

O życiu Polaków wywiezionych w l. 1944 - 45 do łagrów sowieckich powiedzą wspomnienia tych, którzy tam byli i przeżyli.

STANISŁAW KĄDZIELA, „Lech”, członek AK — Obwód Kolbuszowa.

Lipiec 1944 roku był dosłownie i w przenośni gorący. Na terenie całego Obwodu „Kerif” (chyba i nie tylko) panowała już atmosfera gorączkowych poczynań. Wymogi akcji „Burza” nakazywały stan pełnego pogotowia, ostrej czujności, „sprawdzania” ludzi. Już zza Sanu dochodził pomruk nadsciągającego frontu. W mieście pojawili się odosobnieni dezertrzy niemieccy. Bez oporu zostali rozbrojeni przez naszych, już z opaskami białoczerwonymi na rękawach. Na cmentarzu osadziła się nasza czujka. Od strony Mielca ku Nowej Dębie i z powrotem przejechał niemiecki zwiad. Akurat w naszym mieszkaniu tuż przy trasie odbywała się „produkcja” butelek zapalających (2 kobiety — żona i szwagierka). Na szczęście, „niemiaszkom” bardzo się spieszyło, tylko z pojazdów posyłali serie maszynowe do uciekających w pobliskie pole. Byliśmy tam wtedy obaj z „Nowiną”, kiedy na naszych oczach zginął młody „AK-owiec” Arseniusz Bryk. Nie zachował pełnej ostrożności, kiedyśmy leżeli w bruzdach przyplaszczeni do ziemi.

Zandarmeria, załogi landratury i firm niemieckich i co bardziej zaangażowani volksdeutsche wyprowadzali się w gorączce. Na ratuszu miejskim pojawiła się biało - czerwona flaga, a władzę objął Komendant z opaską AK.

Na św. Annę niespodzianka. Od strony Sędziszowa podeszły niemieckie oddziały i rozpoczęły artyleryjski ostrzał miasta. Trwało to parę godzin. Niemcy byli tuż, tuż, ale zorientowali się, że sowiecka „razwiedka” przeszła już przez miasto, a za nią ciągnie siła i odstąpiła. W międzyczasie nasi toczyli bój leśny w Porębach Kupieńskich.

Coraz więcej sowieckich żołnierzy przemieszczało się ku zachodowi. Szli pojedynczo i grupkami, a za nimi ciągnęły już tabory. Nie tak wyobrażaliśmy sobie przejście frontu. Euforii nie było. Wiedzieliśmy, że armia sowiecka nie przychodzi jako prawdziwy sojusznik. Znane były tragiczne losy naszych oddziałów na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkiem, Wołyniu, Podolu, we Lwowie.

Oto dotarły wieści o wybuchu Powstania w stolicy. Boże, co to będzie? — zadawaliśmy sobie pytanie. Realia były wręcz szokujące: zniknęła nasza komendantura z ratusza miejskiego, zniknęły opaski biało - czerwone. Usadowiły się władze sowieckie. Te wojskowe nakazywały oddawanie broni, w ratuszu rozpoczęła urzędowanie „trójka inicjatywna”: Kotas, Wesolowski i Dec (pierwszy i trzeci byli kolbuszowiakami). Z początkowych liter ich nazwisk (nomen omen) N (nikt) utworzono skrót znamiennej nowej władzy: N.K.W.D. Do pracy

na „rozruch” poproszono byłych pracowników gminnych (m. in. i mnie). Rychło zorientowałem się, że niektóre sprawy zalatwia „wielka trójka” cichaczem, szczególnie gdy chodziło o rozdział zarekwirowanych materiałów itp. Chodziło o „swobodę działania”. Głowa „Trójki”, Kotas pełnił obowiązki Przewodniczącego Rady Miejskiej. Jego zarządzenia rozwieszano na tablicy ogłoszeń, a często pod literą „O” pojawiała się wiele mówiąca kreska.

Zaloga sowiecka stawała się coraz liczniejsza. Front stanął nad Wisłą. Przez cztery dni i noce dochodziły odgłosy walk o przyczółek w niedalekim Baranowie. Poza tym panowała dziwna niepokojąca cisza, którą mąciły dramatyczne wieści o tragedii warszawskiej. Na pytanie: „dlaczego nikt powstańcom nie pomoże”—nie było odpowiedzi. Doszły natomiast słuchy, że pośród stacjonujących oddziałów (sztab) pojawili się towarzysze w mundurach NKWD. To już nie wróżyło niczego dobrego.

* * *

Nadeszła smutna ale i podniosła uroczystość: ekshumowania i przeniesienia ciał w prostych trumnach z miejsca walki w Porębach Kupieńskich do zbiorowej mogiły na tutejszym cmentarzu. Zgromadziły się tłumy tych, co przeżyli. Trumny przeniesiono na barkach kolegów. Dawalo się już odczuć trupi fetor. Po zakończeniu ceremonii kościelnej zabiera głos sowiecki pułkownik. Wychwala męstwo i zasługi poległych. Dziękuje za pomoc przy przeprowadzeniu oddziałów sowieckich najbezpieczniejszymi drogami. Życzy zwycięstwa nad wspólnym wrogiem: hitleryzmem. Zdawać by się mogło, że oto są Alianci, że pójdziemy razem do wymarzonej Wolności.

Aliści za kilka dni poczęły chodzić słuchy o zbieraniu przez NKWD informacji o AK-owcach. Pojawili się pierwsi usłudni donosiciele. Ordynarna rooseveltowsko-churchillowska zdrada miała niebawem owocować. Ziemia i naród zostały perfidnie sprzedane. Już docierają wieści, że strzela się za nie dającymi się rewidować i identyfikować. W tajemniczych okolicznościach ginie „Sawa” (Władysław Rożek), wspinały dywersant. Podobno pochowano go w pobliskim lesie (Werynia), ale później szczątki jego zniknęły. Potem docierają informacje o „rozwałkach” dokonywanych w tutejszych lasach na tych, którzy szli na pomoc Walczącej Stolicy. Niebawem zostaje uruchomiona „polska placówka” Służby Bezpieczeństwa z załogą w polskich (o zgrozo!) mundurach. I oto przy końcu października i na początku listopada nadeszła fala aresztowań. W rocznicę październikowej rewolucji, gdy ludzie szli na akademię do przyszłego domu kultury, zjawił się w budynku miejskiej rady narodowej major NKWD. Najpierw porozumiał się ze „swoimi”, a następnie poprosił mnie i stojąc oparty o okno, zapytał, dlaczego nie jestem w armii. Odpowiedziałem, że się

przygotowujemy, ale muszę jeszcze zaopatrzyć rodzinę, żonę i dziecko: „No, niczego”—odpowiedział.— „Pajdziesz z nami”. Wyprowadził mnie na korytarz i oddał pod opiekę żołnierzowi w polskim mundurze „z kurycą”. Ten zaś rzekł, że mam iść z nim. Nie byłem skutny, miałem swobodę ruchów i szybko przeanalizowałem sytuację. Zrozumiałem, że jeśli zbiegnę, cała moja rodzina, żona, dziecko, teściowie znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Poszedłem wtedy ze swym aniołem stróżem do wiadomego budynku. U wejścia zauważyłem znajomego, jak się okazało tajnego już współpracownika UB. Zmieszał się, nie próbowałem z nim rozmowy. Żołnierz wziął klucze i sprowadził mnie do podpiwniczenia. W tym momencie uprzytomniłem sobie całą moją tragicznie paradoksalną sytuację: oto jako oficer sap. W.P., kilkuletni konspirator, ciągle oscylujący na granicy śmiertelnego zagrożenia ze strony niemieckiego wroga jestem teraz w mocy jakiegoś chłystka, który tak realizuje swą służbę „Ojczyźnie”. Nie wytrzymałem i powiedziałam głośno ni to do siebie, ni to do „opiekuna”: „K... mać! Ale się człowiek doczekał! W „Wolnej Polsce” idzie do kryminału”. W międzyczasie zgrzytnął zamek w drzwiach. Wszedłem do lochu wymoszczonego słomą, gdzie było już kilku towarzyszy niedoli. Wkrótce zrobiło się gęsto. Doszedł i sam starosta M. Mytych i jego z-ca J. Bagiński i St. Karkut były przedwojenny posterunkowy. Powoli nawiązywały się rozmowy o nowej rzeczywistości. „Odstawią nas ciupasem do wojska”—powszechnie się słyszało. Osobiście mnie zgadzało się to ze słowami majora. Ale oto rozpoczęły się przesłuchania. Co chwilę wywoływano kogoś. „Rozmowy” były rutynowe: dane personalne, przynależność organizacyjna (pseudo, funkcja). Jeśli powiedziałeś, że tak, to było źle, bo słuchałeś rządu londyńskiego, jeśli zaś nie, to źle, to „coś ty za Polak?”. Potem rewizja osobista, zabranie wszystkiego, co miało wartość, dowód osobisty. Sam pozornie niczego nie skrywałem, podalem pseudo, raczej nieużywane, a jako wprowadzającego do organizacji wymieniłem kolegę, który zginął w akcji na niemiecką placówkę w Biesiadce (przy drodze Kolbuszowa-Mielec). Zabrano mi obrączkę, pieniądze, zegarek i dokumenty. Przesłuchujący mnie oficer w polskim mundurze (por. Wiśniewski) jakoś nie marudził, mimochodem zagadnął, co mówiłem do żołnierza, który mnie sprowadzał po schodach. Powtórzyłem bez zająknięcia. Okazało się, że było to moje pierwsze i ostatnie przesłuchanie. Widocznie nie stanowiłem żadnego obiektu.

Niektórzy byli wzywani po kilka razy. Na razie nikt się nie uskarżał na bicie. Nastrój był jeszcze znośny. Ale sytuacja uległa radykalnej zmianie, gdy po raz któryś wezwano „na górę” Stanisława Karkuta, w którego domu mieszkał adiutant Komendy Obwodu i gdzie znajdowała się kancelaria. Gdy twardo milczał, lub udzielał wymijających odpowiedzi, porucznik W. doskoczył do niego, uderzył w twarz i niemal krzyczał: „Pojedziesz na Sybir i h... twojej mogiły nie znajdziesz!”.

„Ciekawie” przebiegło przesłuchanie kol. Nowaka wydartego naszym borom i lasom. Po ustaleniu personaliów padło pytanie: „Znajesz czto eto AK?”. Ten zamyślił się chwilę i z głupia frant rzeknie po mazursku: „Cosik kiedyśik godali, że to pewnikiem Akcja Katolicka, ale ja tam nie byl”. A indagujący w „polskim” mundurze, jak nie skoczy na równe nogi: „Czto ty j... mać, duraka udajesz!”. I bęc go w twarz. Potem już nieco spokojniej: „Nu, niczewo, budiet takie, czto nada. Życ budziesz, no j... nie zachoczesz!” Powiedzenie rychło się wśród nas rozpowszechniło, a jego wymowną treść mieliśmy sprawdzić sami na sobie. Odtąd wszystko zaczęło być jasne.

* * *

W listopadowe, posępne, niedzielne przedpołudnie załadowano nas na wojskowe ciężarówki. Kobiety opatulone w chusty szły do kościoła nie przypuszczając, co za transport jedzie trasą rzeszowską. Siedzieliśmy pod plandekami, w milczeniu śledząc przez szczelinę zmieniający się krajobraz. „Dokąd nas wiozą?” — takie pytanie nurtowało każdego. Przebąkiwano, że w Przemyślu ma się organizować nowa armia ludowego wojska polskiego. Może mnie tam? Ale, dlaczego ograbiono nas z obrączek, pieniędzy, zegarków? Tak robiło gestapo.

Jakoś minęliśmy Rzeszów, Jarosław, Radymno. Potem niektórzy z nas zaczęli poznawać podprzemyskie okolice. W końcu wyladowano nas w Bakończycach. Baraki, stajnie i sporo luda w cywilu. Nie byliśmy więc pierwsi. Znowu „opisk”, „inventaryzacja” (cz. spis). Potem piętrowe prycze i półmrok. Są koledzy z Rzeszowa, Przeworska, Dubiecka i in. Panuje przekonanie, że będziemy wcieleni do wojska. Tylko gdzie? Na wszelki wypadek zostawiliśmy ślady naszej bytności, pisząc jakoś przemycanymi ołówkami na papierze pakunkowym świstki, które wełknęliśmy za belki poddasza. Może kiedyś je odnajdziemy, albo może ktoś kiedyś je odczyta.

Zawierają się znajomości, snują opowiadania. Nie brak wszakże głosów doradzających powściągliwość, bo — podobno — umieszczeni są donosiciele. Każdorazowe otwarcie drzwi stajni miało zwiastować coś nowego. Owszem od czasu do czasu pojawiali się „mundurowi”. Bądź anonsowali coś w rodzaju posiłku (zupa z brukwi i kawałek chleba), bądź też nakazywali sporządzenie rejestru uwięzionych z wymienieniem zawodu, służby wojskowej itp. Po kilku dniach w słoneczne popołudnie drzwi się na dobre rozwarły i usłyszeliśmy polecenie wyjścia. Po krótkim przemarszu w kolumnie, oczom naszym ukazały się wagony towarowe, a przy nich straż w mundurach sowieckich. Na wagonach napisy w języku rosyjskim. Wymieniliśmy spojrzenia. Zapachniało Wschodem. W wagonach ulokowano nas dość gęsto. Zapadła noc i każdy szukał miejsca na podłodze, by się jakoś ułożyć. Było ciepło jak na połowę listopada. W całkowitej ciemności sprawdzono stany

osobowe po czym wagony zaryglowano. Ruszyliśmy. Jedni w milczeniu rozważali swój zagadkowy los, drudzy dzielili się najczarniejszymi przewidywaniami, inni wreszcie nieugięcie wierzyli w „wojsko”, a niektórzy półgłosem rozważali możliwość ucieczki przez wydarcie desek podłogowych. Była jeszcze pełna noc, gdy nagle pociąg zatrzymał się. Słychać było krzyki konwojentów i zgrzyt otwieranych drzwi. Czyżby już trzeba wysiadać? Za chwilę wszystkim się wyjaśniło. Drzwi się nagle otwały i uzbrojeni strażnicy z jakimiś oficerami weszli do środka. Przeliczali stan osobowy, zbadali stan techniczny wagonu (szczególnie podłogi) i szybko wyszli, ryglując wagon za sobą. Później dowiedzieliśmy się, że przyczyną nagłego postoju była ucieczka kilku więzionych, którym udało się rozmontować w wagonie podłogę i zaryżkować wyskoczenie. Do dziś nie wiem, kto tam był i z jakim skutkiem zrealizowano owo trochę szaleńcze zamierzenie. Pociąg ruszył dalej. Ktoś przed świtem powiedział, że przez szparę rozpoznaje Gródek Jagielloński. Tak na dobre tośmy rozeznali się dopiero w Brodach. Może zatem wiozą nas do Zytomierza lub Sum? Głód, laknienie i pierwsze sygnały zimna zaczęły dawać znać o sobie. Popadliśmy w jakiś trans. Ktoś inny informował, że minęliśmy straszliwie zniszczony Tarnopol. Co dalej? Ano na wschód, w kierunku przeciwnym do zachodzącego słońca. Równina, mało zamieszkałe obszary dowodziły, że już jesteśmy poza granicami Rzeczypospolitej. Wreszcie dotarliśmy do Kijowa. Długi postój, a potem kierunek północ. Chyba minęliśmy Homel, a potem po wielu godzinach męczącego ni to snu, ni to drzemki stanęliśmy na jakiejś węzłowej stacji. O jej wadze świadczyła masa torów, wagonów, wielki ruch i mnogość jakowychś czerwonych domostw. Co to jest? Z fragmentów rozmowy, jaką prowadzili przechodzący obok naszych wagonów kolejarze, wnioskowaliśmy, że to Moskwa. Niepokój nasz zaczął się pogłębiać. Co to wszystko znaczy?

Po wielu godzinach postoju ruszyliśmy. Pociąg teraz jechał szybko, znać, że byliśmy na ruchliwej trasie. Wreszcie odczytaliśmy nazwę następnej postojowej stacji: Kalinin. A więc na północ! Dokąd że zatem? Murmańsk? Archangielsk? Potem znowu jakaś węzłowa stacja. Od niej odbiliśmy na jakąś chyba jednotorową linię, a pociąg jechał wolno. Minęliśmy jakieś laski brzoźowe, jakieś karłowate sosny. Wreszcie trochę przestraszeni, jakoweś zabudowania i stop! Po chwili wagony są otwierane i wysiadamy. Czynimy to z trudem. Głodni, laknieni i zziębnięci. Znaleźliśmy się na jakimś placu między magazynami. Kazano nam usiąść na złodowacialej ziemi. Za chwilę pojawili się liczni konwojenci z bronią i psami. Aha! Jesteśmy przekazywani w inne ręce. Rozpoczyna się marsz „nędzników” ulicami miasta, które wydaje się być znaczące. Widać budynki wielopiętrowe i parterowe, ale to wszystko jakieś inne niż „nasze”. I ludzi niewiele. Mają twarze zmizerowane, stroje byle jakie, zimowe (walonki, kufajki, czapy). Przechodzące obok nas kobiety rzekły między sobą: „Wojennoplenni”.

Ktoś z naszych dorzucił: „Poljaki”. Nic z tego nie rozumiały. Jak się później okazało, szli tędy jeńcy niemieccy, Łotysze, Estończycy, ale Polaków jeszcze nie widziano. Za parę godzin samiśmy stwierdzili, że jednak nie myśmy byli pierwsi spośród tych, którzy mówili po polsku, tyle, że nasi poprzednicy musieli być milczący. I tę okoliczność niebawem przyszło nam potwierdzić. Miasto było położone na pagórkach, raz więc szliśmy pod górę, raz znowu w dół. Na peryferiach dojrzelśmy jakieś wykopy, chodniki deskowe, taczki. A więc kopalnie? Za miastem teren dalej był pagórkowaty. Szliśmy dość forsownie, widać było, że niektórzy poruszają się już ciężko. Konwojenci dogadują, żeby nie ustawać. Jednakże coś się niedobrego dzieje. Parę osób odstaje, wśród nich postrzegamy naszego kolegę Agenora: Okazuje się, że ma odmrożone stopy. A więc już się zaczyna makabra! Zapóźnionych ładują na jakiś przygodny samochód. Do szpitala, gdzie zaszła konieczność amputacji kilku palców. Pochód ciągnie dalej. Mijamy jakąś wieś. Domy drewniane, jakby puste. Cisza. Straszny świat! A konwojenci ciągle nas podganiają, psy poszczekują. Jeszcze wzniesienie, a za nim cel naszej wędrówki: ŁA G I E R! Wizerunek Oświęcimia. Duża przestrzeżona ogrodzona w kwadrat. Na rogach wieżyczki strażników z bronią. Stajemy przed bramą. Przy niej niby to portiernia. Przekazują nas. Wchodzimy na duży plac. W rogu duży budynek drewniany: kuchnia. Obok dalsze, typu barakowego. A w przeciwległej stronie całe rzędy ziemianek. To tu! Przyprawiają nas. Kolo najbliższej ziemianki kręcą się jakieś długobrode postacie niby pustelnicy. Nie kwapią się do kontaktów. Byli to — jak się później dowiedzieliśmy — nasi Wileńczycy i Nowogrodzianie AK - owcy aresztowani po zajęciu ziem kresowych przez armię sowiecką.

Do dziś nie mogą przeżalować, iż nie spróbowałem skontaktować się z tymi ludźmi. Przecież nie było wykluczone, że odnalazłbym pośród nich swoich znajomych. Szansa była krótka w czasie, gdyż z jakowys względów (można się tego domyślać) ludzi tych wkrótce przekazano do innego lagru. A nasza dola obozowa właśnie się zaczęła. Było to w Jogle. Najpierw musieliśmy się oswoić z drylem nowego życia: prycze, ciemne acz dość ciepłe ziemianki, porcja ziemistego chleba, trochę zupy spożywanej w puszkach po konserwach. A propos: otdąd puszka przytroczone do pasa stała się symbolem życiodajnym. Apele, tzw. prowierki, coraz silniejsze mrozy, dokuczliwe wiatry — suchowieje, krótkie dni (słońce „chodzilo” po małym łuku ledwie wystającym ponad horyzont, znak, że byliśmy na dość dalekiej północy), karłowate drzewa — widomy znak niedalekiej tundry, zupełny brak kontaktu z szerokim światem, nowe reguły „gry życiowej”; twarda rzeczywistość obozowa („machorka i suchar” — towary na miarę waluty), więzy przyjaźni stare i zawiązujące się, nieufność wobec niektórych „podejrzanych” o kolaborację z władzami obozowymi, przejawy religijności (niedziele, święta, modlitwy wieczorne i ranne), podtrzymywanie na

duchu tych, którzy psychicznie się lamali, próby kontaktów z otoczeniem pozaobozowym, wreszcie szczególne pogawędki patriotyczne czy „towarzyskie”. Wkrótce okazało się, że nie danym nam będzie trwać w bezczynności obozowej. Jogla był lagrem pierwszego etapu, wprowadzającego. Tu odbywała się już preselekcja materiału ludzkiego (ogłędziny, szczepienie, spisy, „oswajanie” z nowym rygorem).

Po paru dniach doczekaliśmy się pierwszej osobowej straty. Oto kolega z naszych okolic (Trzesówka) Marzec, nocą, czy to straciwszy z wyczerpania orientację, czy to w następstwie nerwowego wyczerpania poszedł na druty okalające obóz i został zabity. Szybкими krokami zbliżył się Święta Bożego Narodzenia, ale wielu pierwsze poza kręgiem najbliższych. Jakoś i władze obozowe jakby się wyciszyły. Okazało się, że pośród nas jest także i ksiądz. Wokół niego i jego oddziaływania toczyło się w tych dniach obozowe życie. W wieczór wigilijny gromadzili się w swych ziemiankach obozowicze według regionów: Warszawiacy, Świętokrzyżanie, Rzeszowiacy, Lasowiacy z widel Wisły i Sanu... Zachowane odrobiny chleba służyły za oplatek, pojawiły się mini- choinki, luczywa zastępowały świeczki. Dziwna żaradność polska rzucala się w oczy. A co dopiero nastroje! W naszym kręgu na górnej pryczy, siedząc niemal po turecku rej wigilijny wodzil kol. Kusy (z Raniżowa). Gdy już nam wszystkim repertuar koled wydal się wyczerpany on jeszcze wyspiewal donośnym solo:

„Witaj Jezu Mały!
Woła Naród cały!
Hej kołęda, kołęda!”

Ogólnie uroczysty nastrój dopehniały słowa kol. hr. Jerzego Tyszkiewicza, gorącego patrioty i arcy - optymisty. Cóż, ani kol. Kusy, ani kol. Tyszkiewicz nie dożyli czasu powrotu na ziemię ojczystą. Były to dalsze nasze bolesne ofiary.

Nazajutrz Lagerkomando podalo wiadomość, że można pisać listy do rodzin. Wszystkie nawet najmniejsze strzępy pakunkowego papieru, jakimś cudem zdobyte w mig zostały zapisane. Tylko „doświadczeni” nie włączyli się do akcji. Po prostu już nie wierzyli w szczerłość zapowiedzi. Było i tak, że grupa robocza przywoząc pieczywo i inną żywność z miasta (Borowicze) próbowała nadać coś na pocztę. Chyba nie było wypadku, by cokolwiek od nas dotarło do Kraju. Tam sądzono, że już nie istniejemy tak, jak ci, co szli na odsiecz walczącej Warszawie.

W nocy jakaś uzbrojona banda leśna podeszła do obozu, rozwarła bramy i zachęcala wszystkich do wyjścia. Dziwne, że przy tym nie rozległ się ani jeden strzał. Później dowiedzieliśmy się, że faktycznie po lasach błękały się grupy wyczekujące wyzwolenia od „Zapadników” (alianci zachodni). Liczyły na to i kręgi lokalnej biedoty. Ostatecznie nie wiadomo, czy byliśmy świadkami zewnętrznej akcji, czy też była to

po prostu prowokacja. W każdym bądź razie nikt nawet nie drgnął, trzeźwo oceniając beznadziejność próby przedarcia się do Polski zimą, poprzez sterroryzowany, zniszczony kraj, w dodatku strzeżony przez zdziczałych ludzi i specjalnie tresowane psy.

W „Sylwestra” następna niespodzianka: podobno brak w obozie opalu, potrzeba ochotników, którzy by z „pobliskich” lasów dostarczyli drzewo. Brzmiało to zachęcająco i znalazła się dość liczna grupa śmialków — ochotników, powodowana też na pewno chęcią zobaczenia „świata”. Mijały godziny, a nikt nie powracał. Była już niemal głęboka noc, gdy przed bramą zamajaczyły cienie. Słychać było zrzućcane na ziemię kłody. Ludzie się przewracali z wycieńczenia. Po wejściu do obozu nawet z początku nie chcieli wiele mówić. W międzyczasie, ci co nie uczestniczyli w wyprawie, pościągali kłody spod bramy na teren obozu. Niebawem dowiedzieliśmy się, że wyprawa miała makabryczny przebieg: najpierw intensywny marsz przez wiele, wiele kilometrów, później wyciąganie zmarzniętych kłód z głębokiego śniegu, następnie wspólne dźwiganie tychże na ramiona i marsz, marsz, marsz. Ostatnie kilometry szli już jak w transie, zataczając się. Na kontakt z rzadką spotykanymi ludźmi nie było szansy. Stwierdzono tylko, że w odległości kilku, względnie kilkunastu kilometrów od naszego istnieje następny lagier, gdzie znajdują się (chyba) Niemcy pracujący przy wyrębie lasu. Teraz należało oczekiwać dalszego biegu wypadków. Nie mieliśmy już dobrych przeczuć. Zaraz po nowym roku zaczęła się normalka. Przeglądy, łaźnie, szczepienia. Zapytywany nadzór informował bez mrużenia oka, że pojedziemy z powrotem do Kraju. Czyżby? I oto w scenerii szalejącej zadymki zgromadzono nas, ustawiono w szeregi, sprawdzono imienne listy i oddano w opiekę licznemu konwojowi. Podejrzanie przedstawiał się ten wymarsz „do rodziny”. Zaraz za obozem skręciliśmy w pola i na przelaj brnęliśmy niemal po pas w śniegu, ciągle ponaglani przez natarczywych „aniołów stróżów”. Marsz był niezwykle wyczerpujący, starsi zaczęli ustawać. Hr. Tyszkiewiczza podtrzymywaliśmy, by nie upadł. Męczyła go astma. Jakoś udało się nam holować go kilometrami. Jeszcze tylko jeden pagórek i oto od strony czola kolumny, które stańło na szczycie, dał się słyszeć szmer, a potem pełne wściekłości pokrzykiwanie konwojentów: „Bystreje! Bystreje!” Gdyśmy doszli do szczytu wzniesienia i spojrzeli przed siebie, wszystko stało się jasne: w kotlinie zarysowały się kontury lagru z nieodzownymi, strzelistymi wieżyczkami. Ot i była „rodina”!

Tak więc następnym „etapem” okazał się lagier w Szepietowie (czy Szybietowie). Było w nim na pierwszy rzut oka nawet nieco „przytulniej” niż w Jogle. Czekala nas także „mila” niespodzianka. Z małego baraczkę wyszły ... nasze panie, które dzieliły nasz los, ale od razu były skierowane do tego właśnie obozu. Zdążyły się już zaaklimatyzować i jakoś sobie radziły. Kontakty z nimi były utrudnione, ale na wszystko znajdując się sposoby. Zaraz też poczuliśmy pomoc z ich strony w postaci

zaoszczędzonych porcji chleba, cukru. Przekazywaliśmy sobie nawzajem informacje. Zima jeszcze nie była — jak na rosyjskie warunki — zbyt ostra, ale „idylla” nie trwała zbyt długo. Chyba właśnie od niewiast dotarła poufna wiadomość, że większość mężczyzn, którzy są jeszcze przy najlepszym zdrowiu, wkrótce wyjedzie (oczywiście do „Polszy”). No i znowu zaczął się korowód spisów, oględzin, wizyt w „bani” („wszobajce”).

Wkrótce nadszedł dzień odmarszu. Wyczytano „wybrańców”, ustawiono w długiej kolumnie. Znowu ekipa konwojentów, psy. Pogoda była jakaś mglista, ponura jak u Grottgera. I chyba nikt ze zgromadzonych nie wierzył, że czeka nas kierunek: „Polsza”.

Na pożegnanie otoczyli nas ci, których, szczęśliwie, nie „wyróżniono”. Gdy mijaliśmy bramę wyjściową, mój serdeczny przyjaciel, Leon Zieliński, wręczył mi na pożegnanie trochę ciepłego okrycia — chyba od niewiast — koszulę dodatkową. Do końca życia będę pamiętał ten jego uczynek. Wielka to była pomoc, jako że niebawem miały się zacząć trzaskające mrozy. Ruszyliśmy przelajem ku jakimś jarom, skrętnie omijając miasto (Borowicze). Musiała tam być jakaś rzeka (Mata?) — wszystko na to wskazywało. Gdzieś niedługo widać było porozrzucane drewniane domki, szkółkę z niewielką liczbą dzieci i zziębniętą młodą ich opiekunką. I oto na wzgórzu dojrzelismy dominujący nad okolicą murowany budynek, a poniżej jego jakieś maszyny. One to przysłaniały nam właściwy widok obiektu, który był celem naszego marszu (ciągle do „Polszy”). Po dość stromym zboczu wdrapaliśmy się w górę i zobaczyliśmy ... lagier.

Parę metrów przed znanymi konstrukcjami (druty, wieżyczki) przebiegał pojedynczy tor kolejowy. Przy przejściu napis: „Gis pojeżdża”. Brama się rozwarła i weszliśmy na wolną przestrzeń pomiędzy licznymi barakami (nie ziemiankami). Ilu z nas miało tu znaleźć doczesne przeznaczenie? Był to bowiem podobóz: szachtlagier, z którego tylko szczęśliwcy mieli się calo wydostać. Szybko rozdzielono nas według list spisowych. Nie obsadziliśmy wszystkich obiektów, bo w jednym baraku byli jeszcze Niemcy, po których mieliśmy przejąć obóz „we władanie”. Oni to za zadanie mieli przyuczyć nas do wypełniania najważniejszych funkcji: kuchnia z „chliboriezką”, „bania”, „bolnica” (miniszpitalik), no i oczywiście „komendantura” obozu i baraków. Tak więc siłą rzeczy musieliśmy nawiązać kontakt przynajmniej z kilkoma „instruktorami”. Rychło dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w obozie zagłady, że podstawą jest praca w tzw. szachcie — „kopalni” węgla, że fatalna jest żelazistoczerwona woda, która powoduje wyniszczające biegunki u tych, którzy nie opanują głodu (trzeba kilka dni wytrzymać bez jedzenia), że w barakach jest zimno, że trzeba podstawowe funkcje obozowe obsadzić rzetelnymi ludźmi, itd. itd.

I zaczęło się życie — gehenna.

Wydzielono brygady: szachtowe (kopalniane), ciesielsko-budowlane („stroitielnyje”), służb specjalnych (wewnątrzobozowych), kucharzy („powary”), rozdzielacze chleba („chleboriezka”), obsługa „bani”, pomoc przy lekarzu i izbie chorych, magazynie odzieżowo-obuwniczym (z nieśmiertelnym Niemcem Kipkem, jedynym, który trwał do końca naszego pobytu w tym obozie zagłady).

Codziennie odbywały się apele przeprowadzane w błyskawicznym tempie zwłaszcza przez polakożercę, lejtenanta Rodina i lejtenanta Maloletniawa.

Jakiś czas obok naszych wychodzili na szachtę jeszcze Niemcy, ale po wypadku tapnięcia, kiedy to wielu z nich zginęło, resztę odesłano do innego obozu. Pozostali Niemcy przyuczali swych polskich następców m.in. czynił to leańszczyk, Schulze z Berlina - Spandau. Właśnie z nim zetknął mnie los, gdyż jako znający język rosyjski zostałem wprowadzony przez komendanta baraku (kol. Niedzialka z Rudnika n. Sanem, czy Leżajska i komendanta obozu kol. Gregorczyka) dla sprawowania funkcji nadzorującego pracę „bani”. Wspomniany już Schulze dobrze mnie z wszystkim agendami zaznajomił, a w krytycznym momencie, gdy zacząłem przechodzić dramatyczny „kolit”, doradził mi wypalanie i spożywanie węgla drzewnego. Nie było mi o to trudno, gdyż zawsze pewna ilość drzewa brzoźowego była dostarczana do rozpalamia. Pozyskany tak węgiel drzewny był rozprowadzany jako podstawowy lek pośród chorych na biegunkę. Tylko silna wola (powstrzymanie się od posiłków w ciągu kilku dni, co przy potwornym wygłodzeniu nie było rzeczą łatwą) rokowało nadzieję. Sam tę próbę szczęśliwie wytrzymałem i po przebyciu takiej kuracji byłem już „przystosowany”. Przez pozostały czas pobytu w lagrach nie doznałem już żadnych niedomagań trawiennych.

Czerwona żelazista woda robiła swoje. Gwałtownie rosła liczba chorych. Pierwsi pożegnali się z tym światem ci, którzy oddawali żywność za tytoń.

Tak odszedł od nas na zawsze kol. Adam Burkiewicz, sąsiad z mej ulicy. Potem dolegliwości zmogły kol. Mytycha — juniora (ojciec przeżył). Śmierć zaczęła zbierać obfite żniwo. Codziennie dyżurni zgłaszali „na bramie” u sowieckiej „władzy”, ilu tej nocy zmarło w każdym baraku. Ten zapisywał coś w „kojcu” i dodawał: „Nu, ładna”. Za chwilę podtaczano skrzypiące sanie lub wóz i składano na grzebowisko. Takie widoki były czymś powszednim aż do wiosny. Stan liczbowy obozu gwałtownie malal. Podczas pracy w łaźni miałem możliwość obserwowania kąpiących się. Twarze pamiętałem, ale za każdym następnym pojawieniem się tychże miałem coraz większe trudności w rozpoznaniu: oczy zapadały się, głos lamal, reakcje były

spóźnione (żyli jeszcze a już nie żyli). Stanowili grupę tzw. dystofików, szkieletów ludzkich bez ciał, których jeszcze zaliczano do stanu obozowego, a nie robiono niczego dla odratowania (tu byłoby potrzebne intensywne odżywianie). Nasz polski doktor, kol. Hornowski z okolic Warszawy, przydany do pomocy lekarce obozowej (akurat kobiecie wyjątkowo dobrej, życzliwej) dwoił się i troił, by ratować kogo się tylko da. Śmiem sądzić, że ich działalności przynajmniej kilkaset osób zawdzięcza uratowanie życia.

Wewnątrz obozu panowało ogólne przygnębienie. Nastrój ten potęgowała jeszcze ostra zima. Powracające z pracy brygady słychać było z daleka, gdy najpierw zmoczone zalewającą kopalnię wodą, a później zmarzłe na silnym mrozie ubranie wydawało charakterystyczny trzask. Pewnego razu gdy taki pochód — widmo wkraczał w bramę obozu, nieopodal przystanął lejtenant Radin. Podparł się pod boki, przymrużył jedno oko i szydlerczo strzelił: „A oto Poliaki, tie katoryje chcieli ledszej Polszy „od morza do morza” (te słowa rzucił poprawnie). Nada rabotać!”.

Widać było, że niektórzy byli już u szczytu psychicznego wyczerpania. Takie załamanie bardzo często prowadziło do samouniżenia. Doszły nas słuchy, że jest grupa śmialków, którzy niepomni na fatalną zimę, nie doceniając trzeźwo szans postanowili zaryzykować ucieczkę. Gdy niczego nie przeczuwający konwojenci grup roboczych na chwilę tylko osłabli nadzór, trójka ryzykantów oddaliła się wykorzystując także warunki terenowe (zabudowania, niedoświetlone drogi dojsćia). Po pewnym czasie stwierdzono brak 3 ludzi, zaalarmowano obóz. Wieczorny apel bardzo się przedłużał, ale wielokrotnie odliczanie i „powierka” baraków prowadziły do tego samego wyniku: do stanu nie starcza 3 „osobników”. W ciągu kilku dni panowała złowróżebna cisza. W chwilach pozostałych na swobodne rozmowy kalkulowano, gdzie jest ta trójka, dojdzie, czy wpadnie. Wszystko wskazywało na to, że w konkretnych warunkach powodzenie ucieczki było wręcz nieprawdopodobne.

Upłynęło 2-3 tygodnie, gdy nagle zarządzono w obozie alarm. Było to coś niezwykłego, przewracało bowiem cały rytm lagrowego życia. Zgromadzono nas przy bramie, gdzie stały sanie z jakimś ładunkiem przerzuconym plachtą. Niebawem zjawilo się naczalstwo i gruby, z nalaną czerwoną krwią major (którego chyba widziałem w naszych stronach „kuszającego” na zapleczu frontowym) zabrał głos: „Oto wasi bracia. Taki los czeka każdego, kto by próbował sam decydować o swym losie na rosyjskiej ziemi”. To powiedziawszy zdarł plachtę a pod nią ujrzeliśmy zmasakrowane, pokrwawione zwłoki uciekinierów. Długotrwałe przygnębienie zawiadnęło nami.

Lejtenant Rodin odbywał teraz sprężyste apele. Gdy nie zdążyłem ustawić wszystkich kąpiących się w karnym szeregu, gdyż niektórzy

ledwo się poruszali, z wymowną nienawiścią spojrzal na mnie i zlecił towarzyszącemu mu przy tym obchodzie naszemu komendantowi: „Posadite jego w karcer!” No i cóż posiedziałem parę godzin w zimnej, ciasnej kłitce. Oczywiście komendant robił wszystko, by mój pobyt trwał tam jak najkrócej. Przy następnym apelu lejtenant patrzył się spod oka na mnie, gdy mu meldowałem stan osobowy, jak by nigdy nie.

Innym razem poszedłem ku bramie, by dyżurnemu oficerowi zameldować o braku opalu. Trafilem akurat na lejtenanta Maloletniewa, naszego „młeczka - ponuraka”. Powiedziałem po rosyjsku o co chodzi. W tym momencie tylko zdążyłem dojrzeć niesamowity błysk jego oczu i potok słów. „Czto u nas w Rossiji węgla niet? J... twoju mać!” Odruchowo uskokczyłem na bok i uniknąłem potężnego kopnięcia w brzuch, który mógł się dla mnie tragicznie zakończyć. Lejtenant stracił równowagę, ale o dziwo! ochłonął i odszedł. Po jakimś czasie i opal się znalazł.

A czas biegł nieubłaganie. Jakoś do rąk naszych dotarł strzep „Prawdy”. Dowiedzieliśmy się, że ruszyła ofensywa zimowa, że front przesunął się daleko na zachód, że w Kraju powstał Rząd Tymczasowy itd.

Skład osobowy obozu uzupełniono „posielcami” z Szepietowa. Dowiedzieliśmy się, że i tam nie obeszło się bez ofiar (m.in. zmarł gorący patriota hr. J. Tyszkiewicz) reszta żyje nadzieją przetrwania a o naszym potwornym obozie mają tam ledwie zielone pojęcie. Skąd w ogóle do nich coś docierało, nie wiemy. Może przez grupy transportowe — zaopatrzeniowe?

Potem przyszły dalsze wieści o postępach na frontach wojny, o likwidacji band kontrrewolucyjnych itp. Boże! Czy to miało być tak? Któregoś dnia zajrzał do „bani” tajemniczy mundurowy, bez dystynkcji. Zawsze widać go było krążącego szybkim krokiem pomiędzy barakami, czegoś nadsluchującego. Baliśmy się go. Okazało się, że był lwowskim Żydem. Nosił broń i niekiedy kogoś z naszych zabierał i wyprowadzał poza lagier. Nigdy już taki wyprowadzony nie wracał. Otóż tym razem gdy zostaliśmy sam na sam, wyjawiał, że prosi o upranie bielizny, a następnie po cichu dodał, iż powinniśmy wrócić do Kraju, ale on nie może. Nigdy więcej na taki temat już z nim nie rozmawiałem.

A słońce zaczęło coraz śmielej wylaniać się ponad horyzont. W jego promieniach gdzieś niegdzie już się zaczął topić śnieg. Niespokojne myśli biegly ku swoim. Co się tam dzieje? Ani my o nich, ani oni o nas od tyłu miesiący nie wiedzieliśmy dosłownie niczego. Minęły w trudnym nastroju Święta Wielkanocne. Ci, którzy jeszcze byli „na chodzie” odwiedzali słabszych i umęczonych. Dobywali resztek optymizmu. Wreszcie po Stanisławie ruszyła lawina. W budynku naczalstwa zaczął się nadzwyczajny ruch, bez przerwy palily się światła. Po raz pierwszy dyżurni oficerowie przemówili ludzkim językiem: „Koniec wojny, koniec niemieckiego faszyzmu!”.

A co z nami?

My zaś w dalszym ciągu marzliśmy w nieogranych barakach, próbowaliśmy rano budzić sąsiadów, a oni już nigdy nie mieli się odezwać, wynosiliśmy ciała umarłych tak, jak wynosi się jakąś makulaturę, czy w najlepszym razie padle zwierzęta, w bardziej niż prymitywnych warunkach zjeżdżaliśmy do kopalni, gdzie woda bryzgala ze wszech stron, cudem wracaliśmy na powierzchnię, wznosiliśmy konstrukcje drewniane szacht, przez co uzyskiwała ona jakiś w miarę przyzwoity wygląd, ratowaliśmy się przed plagą wszy, bezlitosnym kolitem, głodem, wystawiani w latrynach na szaleńczy mróz i śnieżne zadymki, niedosypiali, cierpieli drwiące szykany, przytłoczeni przez nostalgię i dręczeni pytaniami, na które nie było odpowiedzi. Za co? Dla kogo?

Czasem nawet nasi „opiekunowie” kręcili głowami, gdyśmy przewzięćiali nieprawdopodobne kłopoty. Słyszeliśmy wtedy tylko: „Ot, Polaczki!” Bywało i tak, że ktoś podświadomy czy nawet sterroryzowany pogrozkami wyladowywał się na swoich. I trzeba było znieść mentorskie: „Czto wy za narod, czto wy nie uważajecie drug druga?”. Trudno było o większe zakłamanie.

Czyżby więc ta cała makabra miała się zakończyć?

Ciepło, coraz cieplej. „Ujedietie damoj!” — poszeptowali nasi nadzorcy skromniejsi rangą („starszyny”, „siostry”). Wszelki nacisk jakby zelżał. Któregoś razu komendant obozu otrzymał instrukcje, że może kilkunastoosobową ekipę wysłać do miasta (do dentystry, miejskiej laźni). Jakoż „wytypowano” szczęśliwców. Dobrym dla mnie trafem znalazłem się wśród nich, faktycznie miałem wielkie potrzeby w zakresie leczenia zębów. Przy pięknej pogodzie z jednoosobowym nadzorem i to bez broni ruszyliśmy na prawdziwą przechadzkę. Przeszliśmy obok gmachu naczalstwa, gdzie ciągle odbywały się pijacko - seksualne, wręcz zwierzęce orgie i ścieżkami wśród zieleniących wzgórz podążyliśmy z „przewodnikiem” do miasta. Mijaliśmy ludzi nieco żywiej się poruszających, przyglądających się nam z pewną nieufnością, byliśmy bowiem ubrani w to, czym dysponował magazyn rzeczy poniemieckich. Mimo chodem rzuciliśmy parę słów, że nie jesteście „Germańcami” lecz Polakami. Coś niecoś docierało, ale określono nas jako „zakluczonych wojenno - plennych”, czy wreszcie „interniowanych”. W przychodni dentystrycznej kolejka. Czekaliśmy karnie. Panie „zubne wraczi” przyjmują grzecznie, ale nie wdają się w rozmowy (widocznie „nielzia”). Za jednym zamachem uskutecz-niono wiercenie i plombowanie. I o dziwo, trzymalo się to wszystko świetnie aż do końca dni obozowych. W „bani” miejskiej względny ład. Kubelki na wodę. Kąpią się wszyscy razem, kobiety i mężczyźni. Nudyzm na sto dwa, ale ani krzty jakichś drwin czy sensacji. Powracamy w spokoju bez najmniejszego kłopotu dla „opiekuna”. W obozie zdajemy relacje, otoczeni przez ciekawych.

Część załogi kieruje się do prac w kolchozach i sowchozie. Nawiązują się kontakty międzyludzkie. Docierają pierwsze porcje mleka (oczywiście nieformalnie). Boże, jakże tych kilka kroków budowało?! Przypominały się nasze rodziny, pola, zagrody. I wtedy coś ścisnęło nasze gardła.

Zdarzało się, że nasi „kolchoźnicy” byli pojedynczo goszczeni w domach lokalnych wyrobników, ludzi starszych, pamiętających różne czasy. Wyciągano zakazane ikony z za pieca i ze łzami w oczach wspomniano... Tupot za oknami natychmiast powodował wstawienie obrazów z powrotem na piec. „Znajesz syn idziot”. Jakoż zjawiał się konsomolec i rozmowa natychmiast schodziła na robocze tematy. A oto jeszcze parę obrazów z ówczesnego kalejdoskopu obozowego: Pewnego popołudnia przyczłapał do „bani” starszyna, blondyn, chłop nie chłop i zagaduje: „słysz brygadir, mnie siewodnia wieczorem nużna komnata u siebie. Poniał? Konieczna, poniał” — odrzekłem. A on dalej: „Smotri” i wyciąga plik zdjęć. „Eto moja pierwaja żona, moskowskaja bl...t, eto wtoraja, leningradzkaja bl...t, a eto trietaja, kalinińskaja bl...t, eto tiepierienaja, Barowickaja, toże bl...t. Nu niczewo, do wieczera!”. Wiedziałem, że chce się chłop zabawić i że noc mamy (załoga łaźni) z głowy. Jakoż na szarówkę „starszyna” przyprowadził „siestricu” (kręciła się przy obozowej lekarce i wyglądała na przyzwoitą niewiastę). Myśmy się „dyplomatycznie” ulotnili i szukali schronienia u kolegów w różnych barakach. Rano przyszła nasza „siostra” i jak to baba, zaraz poczuła, że ktoś tu był. Zgadła i pobiegła do izby przyjąć obozowej lekarki. Po powrocie tylko kiwała głową i dodała, że szkoda tej „diewuszki”. Innym razem tuż przed wschodem słońca obudził nas niesamowity tumult i krzyki, aż strażnik z niedalekiej wieżyczki („bania” była usytuowana przy torze w rogu obozu) zainteresował się zajściem. Słychać było pojedyncze krzyki: „Tutaj! Łap go! Trzymaj!”. To były echa polowania na kota, który jakoś przyplątał się do obozu. Cóż, to też mięso. A swoją drogą to w puszkach, w zaciszu barakowym gotowano na chruście, czy okrawkach drzewa, wszystko, co miażdżyły zęby: podkradzione ziemniaki, buraki, trawę, brukiew, żaby... dlacze-góż by więc kot miał być gorszy?

Przykry wypadek zdarzył się na „Stroitelnej”. Nasz krajan J. Skóra nieopatrznie stanął na osuwisko piasku i momentalnie spadł i został przysypany. Zanim zdolano go odkopać, już nie żył. A było to akurat w tym czasie, kiedy śmierć już nie zbierała żniwa i wiele dni bywało bez „zapisów” na portierni. Urządziliśmy mu w miarę katolicki pogrzeb. Miał trumnę zbitą z gładkich desek, na czele szedł „obozowiec” z krzyżem, potem niesiono trumnę na ramionach współtowarzyszy i śpiewano żałobne pieśni. Kto żyw, wyległ w obozie od strony zasieków przy torze i oglądał niesamowity w swej scenerii widok. Akurat przejeżdżający torem maszynista z wrażenia aż zatrzymał lokomotywę. Może to był pierwszy taki pogrzeb, jaki przyszło mu

ogłądać w tamtym dzikim świecie? Długośmy biadali nad pechowym losem kol. Skóry, bo już w sercach naszych tliła się iskierka nadziei na powrót do Kraju.

Byli wśród nas ludzie „szczególni”. Zdażyłem się jakoś zaprzyjaźnić z kol. Tadeuszem Jacobin (vel Jakobin) z Kieleckiego (Radomia). Gdy już w obozie jakoś „inaczej” żyć się zaczęło, zjawił się w któreś popołudnie, przyglądając mi się, uśmiechnął i poprosił bym mu podał odwróconą dłoń. Zapadł w jakiś trans. Chwilę milczał a potem wyszeptał: Masz przerwana, długą linię życia. Czekają cię trudne chwile. W tym życiu dwie kobiety. Jedna umrze, a z drugą będziesz żył długo i szczęśliwie”. I oddalił się na swych krzywych nogach. Dziś gdy prawie wszystko już się spełniło, nie mogę go zapomnieć i odszukać.

Inną „nadzwyczajnością” była jakaś poważna siła — fluid, świadczący o tym, że ktoś o mnie myśli, za mnie się modli. To mi dodawało sił w dniach zwątpienia. Jakoż modlono się w mej intencji i w domu (żona i córeczka) i w kościele (kolega, nasz kapelan). To była więź, która przenikała poprzez tysięczne kilometry i czyniła człowieka odpornym, ufnym w rzędzenie Boże. Jestem głęboko przekonany, że to ostatnie rzędziło mym losem w wielu dramatycznych, napiętych chwilach mego żywota. Staram się o tym pamiętać. Potem gruchnęła w obozie wieść, że ma przybyć jakaś międzynarodowa komisja Czerwonego Krzyża, czy coś temu podobnego. Jakoż „władze” dostały „kota”. Nawet „kopalniacy” nie wyszli z obozu w pełnym składzie. Cała pozostała reszta „pucowała” łagier od A do Z. Wszędzie musiało być na medal. I faktycznie jakowaś komisja się zjawiała. Przyglądali się obozowym realiom. Niezapomniany był widok, gdy po wejściu do jednego z baraków stanęła przed pryzkami, na których kucaly, drzemały dziwne postacie z kształtu przypominające ludzi. Ruchy ich były niemal żadne, oczy zapadnięte, tepe blade, policzki zapadnięte. „Władze” objaśniły „gości”, że to grupa „dystropilców”. Widok tych nieszczęśników był iście przerażający. Żyli jeszcze, a nie żyli.

Po tej wizycie wikt uległ poprawie. Najwyraźniej zaczęto nas podkarmiać. Pojawiły się stuchy, że „Polskie Prawicielstwo zdielało dogawor z SSSR” i że mamy być odesłani do Kraju. Potem przyszedł koniec wojny na Dalekim Wschodzie. Bomba atomowa i... cisza. Wygrzewaliśmy się jeszcze w wolnych chwilach do laskawego słońca i marzyli o tym, co czeka nas na naszej ziemi. Jedni tęsknili za swoimi, inni nade wszystko za tym, żeby się wreszcie najeść ruskich pierogów, ba, nawet samej „kartoszki”, ale cały szaflik. Zaczęto sporządzać nowe spisy. Niektórych wzywano na przesłuchanie. Znać było, że zacznie się coś dziać. Polski upór, jakowaś nadzwyczajna zaradność zaczęły święcić triumfy, gdyż mimo kolosalnych ubytków społeczność nasza obozowa była jeszcze dość liczna. W tym właśnie obozie masowo wyginęli Niemcy i Estończycy. Kto będzie po nas? Wiedział o tym Gulag.

Późną już jesienią przybyli do obozu Węgrzy i trochę Czechów. Węgrzy byli dobrodusznymi, wiecznie rozgadani, ciągle z higieną na bakier. Początkowo część z nich rozlokowano na poddaszu „bani”. Nocą przybiegali do mnie nasi z rozpaczą w głosie, że „coś” ze strychu kapie. Wiadomo, brudasom i leniuchom Madziarom nie chciało się schodzić na wybieg. Trudno się było z nimi dogadać, właściwie pozostały tylko migi lub strzepy niemieckiego. Dowiedzieliśmy się od nich, że wkrótce jedziemy do domu.

Co dnia ktoś inny zapewniał nas, że odjedziemy do Polski! Istotnie, zmieniono nam „sorty mundurowe”, bieliznę, doprowadzono do jakiegoś takiego wyglądu, przygotowano do przekazania agend nowoprzybyłym. Przed Świętami Bożego Narodzenia zapowiedziano odprawę. I nadszedł ów dzień. Cały stan obozowy zatrzymano do apelu. Pogoda była jakaś zamazana, dość ciepło jak na tę porę roku. Ustawiono nas w obszerny kwadrat, kilkoma rzędami. Oto od strony wejścia do obozu pojawiła się grupa „Naczalstwa”, jacyś pułkownicy, majorzy, kapitanowie. Odebrali meldunek, rozejrzeli się wokół i zabiera głos widocznie najstarszy rangą. Nie sposób zapomnieć scenę, jaka się wówczas rozegrała. Słychać w miarę donośnie: „Ujeżdżajcie w Polszu”. W tym momencie rozlega się śmiech. Stojący koło nas oficer mruczy: „Czewo j... wasza mat, śmiejecie?!”. Któryś z nas nie wytrzymał i rąbie: „Skolko uże raz my w Polszu ujeżdżali!”. I odpowiedź: „No tiepier nastojaszce tak. Czesnoje słowo ruskowo oficera!”. I znowu śmiech. W międzyczasie mistrz ceremonii ciągnie dalej: „My dogawarilis z waszym prawitielstwem. Nu niczewo, my wsiaki i w Polszu najdiem-sia!”. Tu byliśmy zgodni. Domyślaliśmy się, do jakiej Polski pojedziemy (czego wszakże do końca nie byliśmy pewni. Po prostu nie wierzyliśmy będąc tyle razy oszukani). A potem ciąg dalszy. Rozglądając się po wymizerowanych twarzach, zgiętych postaciach, dodaje: „A pretensji kakij to jest?”. „Zeby choć ktoś się nie wychylił” — myślimy. Koło nas zaczyna się ruch. Ktoś się przepycha do czoła. Inni krzyczą: „Nie puszczajcie go!”, ale napróżno. Facet nie wytrzymał i staje przed mówiącym. Tak mówi: „Proszę, żeby mi oddano złotą obrączkę, pieniądze, zegarek”. „Ładna, ładna, ostań!” — odpowiada Kamandir. „Nu ostalnyje do swidanija!”.

Kolumna się wyprostowała, zakołysała i ruszyła w kierunku otwartej już bramy. Ów „z pretensją” został i słuch o nim zaginął. Czy wrócił do Polski, jeden Bóg raczy wiedzieć.

Przeszliśmy przez tor i zeszliśmy w dół, nie oddalając się wszakże zbyt od torowiska. Minęliśmy jakieś magazyny i... znowu lagier, ale jakiś inny. Bez wielkiego nadzoru, bez psów, bez lajania, wydzierania się konwojentów. Wszakże to coś już innego. Przystajemy, rozdzielając nas do różnych baraków. Tam zastajemy znajomych z Szepietowa. Oni już wiedzą, że myśmy mieli dojść z „szachtowego”. Ileż radości w powitaniu po przejściu przez piekło! Tu pozostajemy jakiś czas.

Podkarmią nas, byśmy mieli siły znieść, długą, męczącą podróż porą zimową.

Rozmowom, planom, nadziejom nie ma końca. Chociaż w barakach jest duszno i ciemno wszystko znosimy w dobrym nastroju. Nasi robią jakieś transparenty i afisze, bo w Mieście mają się odbyć wybory. I znowu, jak rok temu w Jogle, gromadzimy się w wieczór wigilijny (już bez biedaka śp. Kusego, który nie doczekał, jak zresztą i wielu innych), a potem „znad Wisły, Niemna, Sanu, Bugu, męczeńska do Cię woła krew”.

JAN ŁOPUSKI ps. „Mariusz”, członek AK — Inspektorat Rzeszów.

Gdy 500-osobowy transport więźniów z zamku Lubomirskich w Rzeszowie przybył wieczorem 11.01.1945 roku do przejściowego obozu NKWD w Bakończycach pod Przemyślem skierowano nas najpierw do łaźni i odwszalni, których obsługę stanowili jeńcy niemieccy. W porównaniu z nami — brudnymi, zawszonymi, wyczerpanymi głodem i wielotygodniowym śledztwem — prezentowali się oni wspaniale. Byli dobrze odżywieni, czysti, w porządnym mundurach. Otwarcie nam współczuli. A przecież jeszcze wczoraj byli to nasi wrogowie, z którymi prowadziliśmy bezpardonową wojnę — wojnę, którą oni sromotnie przegrywali. A więc postanowiono nie zaoszczędzić nam żadnego upokorzenia. Gdy na drugi dzień przygotowywano nas do dalszego transportu, inni jeńcy niemieccy ogolili nasze lby. Od nich też dowiedzieliśmy się o ruszeniu wielkiej zimowej ofensywy. Gdy wielotysięczne masy żołnierzy radzieckich i polskich parły na zachód, nasz szlak wiódł w przeciwnym kierunku.

Transport więźniów do miejsca przeznaczenia odbywał się w warunkach, których określenie jako „trudne do zniesienia” byłoby eufemizmem nawet dla ludzi z ZSRR, których granice wytrzymałości i odporności na trudy podróżowania w towarowych wagonach i warunkach ostrej zimy były bez wątpienia większe niż mieszkańców krajów środkowoeuropejskich. Preludium tego, co nas miało czekać, stanowiło przygotowanie do transportu — oczekiwaną nago w stajennym przed-sionku, przy temperaturze — 15°C, aż nasi strażnicy ukończą szczegółową rewizję naszej garderoby. Później załadowano nas po 80 do dużego wagonu (tzw. „świniarki”). Przez nie szerszą niż 5 cm szparę, w jednym półprzymkniętym oknie wpadało do ogromnego wagonu trochę światła. Na środku wagonu stał mały piecyk, do którego nie było opału. Blasiany lej wetknięty w dziurę w ścianie wagonu (nazwany „megafonem”) stanowił naszą latrynę. Gdy eskorta zaryglowała drzwi, więźniowie zaczęli rozłokowywać się pod ścianami, spoglądając po sobie z nieufnością, a nawet z niechęcią. Więzy braterstwa broni dawno zostały zapomniane, a nowe więzy przyjaźni i koleżeństwa,

